ST. TARNOWSKI

CZEŚĆ MATKI BOSKIEJ

I DZISIEJSZY CZAS

KRAKÓW
CZCIONKAMI DRUKARNI »CZASU«
1904.

ST. TARNOWSKI

CZEŚĆ MATKI BOSKIEJ

I DZISIEJSZY CZAS

KRAKÓW
CZCIONKAMI DRUKARNI »CZASU«
1904.

NAKŁADEM AUTORA.

Pomiędzy ziemią a niebem, stworzeniem a Stwórcą, stoi Święta Boża Rodzicielka, jako pośredniczka, orędowniczka, pocieszycielka. Bez ustanku, ze wszystkich części ziemi, my ludzie wołamy do niej: „Z Synem Twoim nas pojednaj, Synowi Twojemu nas oddawaj, Synowi Twojemu nas polecaj". Pojednaj, bo my, ludzie ułomni, od jedności z Nim zawsze odstępujemy, a nieraz ją i zrywamy. Oddawaj, bo winniśmy Mu być oddani ze wszystkiem, co mamy i wszystkiem co w nas jest, duszą, wolą, miłością, a sami tak zupełnie oddać się nie zdołamy. Polecaj, bo lepsi czy gorsi, mniej czy więcej winni, mniej czy więcej nieszczęśliwi, bez zmiłowania Jego nie możemy sobie dać rady ani w żadnej sprawie, trosce, boleści, ani w sprawie zbawienia.

Bez pośrednictwa i orędownictwa ród ludzki przez grzech pierworodny zawsze do złego skłonny obejśćby się nie mógł Wiedział to Bóg i to pośrednictwo mu opatrzył, przeznaczył, zaraz po upadku pierwszego człowieka Adama, i dawniej, zanim jeszcze świat i człowieka stworzył, a wiedział z góry, że człowiek zgrzeszy, że grzechem zasłuży na zgubę, że odkupi go ofiara, wcielenie

i śmierć Syna Bożego. „Pan mnie posiadł na początku dróg swoich pierwej, niżeli co czynił z początku. Od wieku jestem zrządzona i z starodawna, pierwej, niżeli ziemia się stała. Jeszcze nie było przepaści, a jam już poczęta była. Ani jeszcze źródła wód wyniknęły były, ani góry ciężką wielkością były stanęły, a ja się rodziłam. Jeszcze był ziemi nie uczynił, ani rzek, ani zawiasów okręgu ziemi. Gdy gotował niebiosa, tamem ja była, gdy utwierdzał niebiosa w górze i ważył źródła wód, gdy zakładał morzu granice jego, a ustawę dawał wodom, gdy zawieszał fundamenta ziemi, z Nim byłam“. Była w przedwiedzy Boskiej, przejrzana od początku, od początku wybrana na to, by starła głowę węża, a porodziła Zbawiciela. Po tamtych zaś słowach, oznaczających Jej powołanie, Jej godność Matki Syna Bożego, idą zaraz drugie, oznaczające Jej pośrednictwo i orędownictwo: „Kochanie moje być z synami ludzkimi“ — jednać ich, oddawać, polecać, i pocieszać.

Dlatego zwraca się do Niej ród ludzki z uwielbieniem swojem, z miłością swoją, i ze swoją prośbą. Ona nad ten ród ludzki wywyższona nieskończenie wyżej, niż wszystkie gwiazdy nad ziemię, ale Ona z ludzkiego rodu wyszła, do niego należy, była istotą ludzką, jak my. Przez to czujemy się Jej bliższymi, mamy do Niej więcej śmiałości, niż do naszego Stwórcy i Pana. Ona była człowiekiem jak my, więc zna naszą ułomność, nasze ograniczenie, nasze skłonności, nasze

potrzeby. Ona nie była taka, jak my, skoro w Niej nigdy nic złego nie było, ale widziała, znała, kochała takich ułomnych i ograniczonych, jak my. Ona była wyjęta z pod naszego powszechnego prawa grzechu: ale nie była wyjęta z pod powszechnego prawa cierpienia: owszem, Jej boleść pod krzyżem była większa od wszystkich ludzkich boleści. Więc Ona wyrozumie, uczuje każdą ludzką boleść, każdą nędzę, każdy ucisk, nad każdym się ulituje; i każdy do stóp, do serca Syna Swego zaniesie, za każdym się wstawi. A Syn czy może nie zważać na to, co Ona mówi? Jest Jej Bogiem i Panem, ale jako człowiek był Jej Synem; nikt Go nie kochał tak, jak Ona, i On nawzajem nikogo. W swojem ziemskiem życiu nie miał nic lepszego, jak Ona, a w niebieskiej chwale Ona swoją powagę Matki zachowała; Jego miłość synowska, Jej macierzyńska zostały na wieki wieków. Przez Nią, przez swoje narodzenie z ziemskiej Matki Syn Boży zniżył się do nas ludzi, stał się bratem człowieka, a nas podniósł do godności swego braterstwa. Ten cud wszechmocności i łaski dokonał się przez Pannę Najświętszą i w Niej. Dlatego Ona po Bogu pierwsza, Jego najbliższa, dlatego prorokuje sama sobie: „Błogosławioną zwać mnie będą wszystkie narody“, dlatego wszystkie czczą, wielbią, miłują i zgodnym głosem wołają „Pod Twoją obronę uciekamy się“.

Ta obrona, to pośrednictwo i orędownictwo Bożej Rodzicielki, która za ludźmi się wstawia

bo jest jedną z ludzi, a u Boga może najwięcej bo jest Jego matką, to jest tak naturalne, tak konieczne, tak ugruntowane w naturze, w uczuciu i w rozumie, że trudno pojąć, jakby człowiek mógł Matki Boskiej nie prosić, jakby ona mogła próżb jego nie zanieść wyżej. Każdy z nas doświadczył tego w swojem życiu, że kiedy od drugiego człowieka czegoś potrzebuje, kiedy go ma o coś prosić, to udaje się także do jego blizkich, do jego przyjaciół, do ludzi których on kocha, i stara się otrzymać ich pomoc, ich wstawienie się za sobą Tem samem uczuciem i wyrachowaniem wiedzeni, udajemy się do świętych jako do przyjaciół Boga, żeby prośby nasze przed Nim poparli: tem pewniej, tem usilniej udajemy się do Jego Matki, bo i Bóg, jak człowiek, głosu matki najprędzej wysłucha, na Jej prośbę najłatwiej coś zrobi, Jej życzeniu najtrudniej odmówi. — Aż żal protestantów, którzy jak my mają potrzeby, boleści, jak my proszą, a do Najświętszej Panny ze swemi prośbami się nie zwracają. Czy w głębi serc nie czują, że tą drogą prośby ludzkie najprościej dochodzą do nieba, czy im nie żal, że ją sobie sami dumnie zamknęli? Musi tak być: a wskazówką zdumiewającą jest wielki, bynajmniej nie chrześciański Göthe; przebaczenie i zbawienie Fausta przychodzi przez pośrednictwo *der ohne gleichen, der Schmerzen und Strahlenreichen.* Ufajmy, że te wiekowymi błędami rozumu przywalone na dnie serc uczucie, wydobędzie się na wierzch i u nich,

że spełnią się proroctwa „i wszystkie narody zwać ją będą błogosławioną“.

W tej niezgłębionej tajemnicy wcielenia Chrystusa Pana, która jest niezgruntowaną i nieogarnioną przepaścią miłości i łaski Boga dla człowieka, zrozumiałem, rozumowi ludzkiemu przystępnem, bo koniecznem, jest Niepokalane Poczęcie Matki Bożej. Jeżeli Bóg miał stać się człowiekiem, Słowo stać się Ciałem, Bóstwo złączyć się z człowieczeństwem, to to złączenie nie mogło się dokonać przez nic zmazanego, nic dotkniętego najmniejszą skazą, choćby cieniem grzechu. Bóg nie mógł łączyć się z czemkolwiek, choćby najmniej złem: dla tego ta, w której żywocie miał wziąć ludzkie ciało, z której miał się narodzić jako człowiek, musiała być bez zmazy, bez zmazy poczęta i przez całe życie zmazą żadną nie dotknięta. To jest tak jasne, tak logiczne, tak konieczne, że nic innego nie mogło być, nie da się pomyśleć ani przypuścić. Można zrozumieć ludzi, którzy nie wierzą w Bóstwo Pana Jezusa i w Jego wcielenie: ale chrześcianin, który wierzy w to, nie może przypuścić, iżby na Matce Syna Bożego było cokolwiek grzesznego, musi wierzyć, że ona była Niepokalanie Poczęta. I tak też wierzył; ta konieczność była tak oczywistą, ta prawda tak zrozumiałą, że umysł ludzki i uczucie ludzkie pochwyciły ją odrazu, przylgnęły do niej, i wyznawały ją przez wszystkie wieki, zanim przed pół wiekiem ta powszechna wiara stała się ogłoszonym dla katolika obowiązującym artykułem wiary.

I.

Dzień 8 grudnia 1854 roku, ogłoszenie dogmatu Niepokalanego Poczęcia, to był najwyższy wyraz, szczyt czci Najświętszej Panny w wieku XIX. W nim skupiła się ta cześć, wzrastająca od początku wieku, z niego rozchodzą się z nową siłą wszystkie późniejsze tej czci objawy, przedsięwzięcia, i dzieła. Godzi się przypuszczać, że Opatrzność boska miała swój cel w tym wzroście nabożeństwa do Matki Bożej, że wzbudziła ten popęd na to, by w rozlicznych niebezpieczeństwach jakie ten wiek z sobą przynosił, dać światu chrześciańskiemu środek obrony, zabezpieczenia. Dawno bowiem nabożeństwo to nie było tak żywem, tak powszechnem jak w tym naszym czasie, i dawno obrona, zabezpieczenie, nie było tak potrzebnem. Cześć Najświętszej Panny, modlitwa do Niej, była wielkiem tętnem chrześciańskiego życia za czasów jedności chrześciaństwa; przed Reformacyą Lutra, oddychały nią zgodnie wszystkie narody Europy. Ona była natchnieniem tych mistrzów, budowniczych, malarzy, rzeźbiarzy, którzy wznosili świątynie a ludzkim twarzom nadawali niebiańskie wyrazy świętości, ale natchnienie niektórych miało swój grunt, swoje soki żywotne, we wspólnem uczuciu wszystkich. To samo uczucie tkwi w nauce, w teologicznych i filozoficznych traktatach doktorów i świętych, w życiu rodzin, i w życiu zakonów, w różańcu św. Dominika, w kantykach św. Tomasza, i w niezliczonych

votach ludzi świeckich, a do dziś dnia brzmią po kościołach echa ówczesnych pieśni, odgrzebują się z zapomnienia resztki kazań i modlitw, a kościół powszechny i każdy wierny człowiek modli się ich modlitwami.

Od wieków średnich nigdy podobno cześć Najświętszej Panny, nabożeństwo do niej, nie było tak powszechnem tak żywem, jak w tym XIX wieku. U nas wybuchło wspaniale w XVII, w czasach strasznych klęsk i niebezpieczeństw, wspaniałych porywów i łask cudownych. Może ono niewidzialnem jakiemś działaniem, natchnieniem z nieba, wzmaga się w czasach ponurych i groźnych, jako środek obrony i ratunku, może dla tego wzmogło się tak w naszych czasach?

Walka z chrześciaństwem, i jego prześladowanie, jest zawsze, odkąd jest chrześciaństwo. Przycicha czasem tak, że zdaje się jak żeby go nie było, ale nie ustaje nigdy. Nie może ustać. Złe nie może dać za wygrane. Do końca świąta pracować będzie nad zgubą każdej ludzkiej duszy z osobna, i do tego samego terminu wysilać się będzie w walce z Bogiem, z Jego prawdą i prawem, z Jego Kościołem, w ludzkich społeczeństwach. Formy tylko, rodzaje tej walki i jej oręże zmieniają się podług czasu i potrzeby. Złe jest przebiegłe, mądre, i umie zręcznie stosować środki działania, do warunków wśród których działa. W wiekach chrześciańskiej jedności nie czuło się na siłach żeby zwyciężyć, i przyczaiło się, nie walczyło otwarcie. Rzadko tylko, jak żeby

dla zasady, dla honoru, występowało z jawnem przeczeniem: a obrało długą mozolną drogę podkopywania chrześciaństwa przez działanie na ludzi, przez psucie dusz. Na tej drodze udało mu się odnieść świetny tryumf, zepsucie w kościele, nawet w niektórej jego widomej głowie. To było jak zerwanie tamy, jak podniesienie śluzy, po którem buchła z całym impetem wezbrana masa przeczeń. Zrazu przeczenie katolickiego Kościoła tylko, ale w ślad za niem wszystkie inne: przeczenie nieśmiertelnej duszy w człowieku, przeczenie boskiego początku świata, przeczenie odpowiedzialności przed Bogiem, przeczenie Jezusa Chrystusa, przeczenie istności Boga. Do tego kresu doszedł wiek XVIII.

Dziewiętnasty wziął jego spuściznę, i prowadził dalej to samo dzieło, z mniejszą namiętnością i gwałtownością na pozór, z większą siłą i konsekwencyą na prawdę. Walka z chrześciaństwem rozciąga się szerzej, sięga głębiej, aniżeli przed stu laty. Wtedy Kościół zburzony był w jednym kraju tylko; w innych rządy dawno wyswobodziły się z pod Bożego prawa, ale nie wyrzekły się wiary. Zachowywały pozory, zachowywały może i złudzenie katolicyzmu. Wtedy przeczenie chrześciaństwa, przeczenie duszy i odpowiedzialności wpływało tylko na umysł i sumienie ludzi wykształconych, oświeconych. Dziś nie ma jednego państwa katolickiego na świecie; a wiara i prawo boskie podkopuje się i burzy w milionach umysłów i sumień, dochodzi do rolnika na wsi,

do robotnika w mieście, pod nazwą wolności, myśli i oświaty. Wiek postępowy, cywilizowany nie zna, nie znosi prześladowania krwawego — (z wyjątkiem na Podlasiu, ale to tylko Polacy, i chłopi, to się nie liczy!), ale ma sposoby mniej głośne, mniej rażące, a pewniej wiodące do celu. Wolność wyznania, wolność sumienia, to przecie rzecz słuszna a święta, a ona wymaga oczywiście, żeby w państwie żadne wyznanie nie miało pierwszeństwa przed innem: człowiek może sobie wierzyć w Boga i wyznawać jakąś religię, jeżeli chce, ale społeczeństwo ludzkie, ale państwo, powinno oczywiście być bezwyznaniowem, bezbożnem! Wolność myśli i słowa, to także rzecz słuszna i święta: a więc jeżeli tak, to ona ma wszelkie prawo zwracać się przeciw Bogu, przeciw chrześciańskiej moralności, a nikt nie ma prawa brać jej tego za złe! Na dobrem szczepić złe, z idei i zasad prawdziwych i słusznych, wyprowadzać konsekwencye i skutki fałszywe i zgubne, to odwieczna, wypróbowana metoda i sztuka szatańska. Przekręcanie dobrego, jakie wiek przynosił, nadużycie tego dobrego do złego, nigdy może nie było tak widocznem, tak systematycznie używanem, jak w tym XIX wieku. Wolność umysłu i słowa, wolność druku, dziennikarstwo, stały się dogodną bronią w walce z chrześciaństwem. Ciała prawodawcze, po części bezwiednie, ale prowadzone przez dobrze świadomych, pomagały w tem dziele ustawami, które w imię niby i w obronie obywatelskiej wolności zmierzały do rozprzężenia

lub do skrępowania Kościoła. Filozofia uczyła, że prawdziwem jest tylko to, co dotykalne, co zmysłami stwierdzone: zatem Bóg i dusza są w najlepszym razie przypuszczeniem, a wszystko, co nadprzyrodzone, jest urojeniem fantazyi. Z tego stanowiska przeszła — w logicznem i nieuniknionem następstwie — na inne, i głosi, że nie ma ani złego ani dobrego, ani żadnego prawa, tylko człowiek sam, jego wola i żądza, a wszystko, co on zrobi, żeby tej woli czy żądzy dogodzić, jest jego prawem, jedynem prawem. Ten sam czas sformułował i wykonywa zasadę: siła przed prawem, i zasadę: człowiek po nad dobrem i złem. Jedno do drugiego doskonale przypada, jedno się drugiem uzupełnia.

Ta wojna z chrześciaństwem, z której szeregowcy często nie zdają sobie sprawy, jest wszędzie; systematyczna, i na wszystkich polach. Bywa łagodna, zamaskowana, nie urzędowa, gdzie względy jakie nakazują zachowywać pozory. Rząd stoi ściśle na straży konstytucyjnej wolności wyznań, do zaczepek się nie posuwa, zostawia to dziennikom i wiecowym oratorom: tylko jeżeli jakieś wyznanie — oczywiście nie katolickie — nasyła mu swoich apostołów czy misyonarzy, to on oczywiście obywatelstwo swego państwa nadać im musi, bo inaczej gwałciłby wolność wyznań: a ta poprawna i konstytucyjna bezstronność pomaga cicho do szturmów na katolicyzm w pierwszym rzędzie, na chrześciaństwo w drugim. Pomimo całego i zawziętego protestanckiego pietyzmu czy

fanatyzmu sfer dworskich i rządowych w Prusiech, pomagają i one do burzenia chrześciaństwa; Kościołowi katolickiemu wydadzą wojnę w postaci Kulturkampfu, ale na to rady nie widzą czy nie mają, że ich pastorowie w swoich kazaniach dyskutują o Bóstwie Pana Jezusa przynajmniej jako o kwestyi wątpliwej. Rosya nie chce zniszczyć chrześciaństwa, chce je tylko poddać sobie, i dlatego walczy skrycie i cicho, ale nieustannie z Kościołem katolickim. Ale i ona niegodziwościami swemi budzi w sumieniach niewiarę i nienawiść do swego urzędowego Kościoła, pośrednio do chrześciaństwa, którego on jest jedyną tam widomą i znaną formą. Nihilista, który odrzuca wszelką religię, i rzekomy apostoł, który wymyśla jakieś lepsze chrześciaństwo własnego wynalazku, pracują oba, choć w innej myśli i woli, na ten sam skutek.

Jak się nazywają te religijne wyznania, czy te polityczne związki, które tę wojnę prowadzą i jej szeregowcami dowodzą? Jak się jedno z drugiem łączy? To pewna, że ze swoim celem dziś już nie kryją się wcale. Tam, gdzie czują się na siłach, gdzie nie obawiają się doraźnego silnego oporu, tam głośno i jawnie przyznają się do swego celu. Bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, wolność i potęga Francyi, oświata i szczęście ludu, tryumf demokracyi wreszcie, od tego zależy i na tem się zasadza, żeby społeczeństwo było wychowane w bezbożności. Program zapowiedziany otwarcie, i wykonywany ze ścisłością większą od roztrop-

ności Pierwsza Republika zamykała kościoły, na ołtarzach stawiała boginię Rozumu, a księży ścinała setkami: trzecia Republika jest mniej śmiała w środkach, ale nie mniej stanowcza w działaniu, w nienawiści chrześciaństwa nie mniej zaciekła. To zaś, co ona robi, to jest wskazówka, oznaka. Ona odkryła karty, inni trzymają je zakryte, ale gra jest ta sama: i z postępem czasu, z usunięciem ostatnich względów i zapor, po energiczniejszem rozszerzeniu i zakorzenieniu tych samych zasad, możemy we wszystkich państwach i krajach widzieć to, co już widzimy we Francyi, otwarte, jawne wyznanie i spełnianie celu, którym jest odchrześcianienie świata.

Nigdy podobno bezbożność nie przyznawała się do siebie tak otwarcie, nie affirmowała się tak zuchwale; może czuje się pewniejszą siebie, bliższą swego celu. W namiętności swojej dochodzi u niektórych do wściekłości, i affirmuje się wprost jako nienawiść Boga To jest nowe. Tego wiek XVIII nie robił, ani żaden poprzedni. Dziś słyszy się szumnie głoszone, i, niestety, powtarzane, manifesty tej nienawiści i groźby: a ta nienawiść w obłędzie swojej furyi za Pana swego wyznaje szatana, jemu się oddaje, jego wzywa, jego sztandar wznosi, jemu zapisuje się w służbę. Dawniej pakta człowieka z szatanem, obrzędy czarownic i magów, dyabelskie msze, którym asystować miał smutnej pamięci francuski Regent, okrywały się tajemnicą, bały się same siebie. Dziś poeta wielkiego narodu, w języku Dantego intonuje

hymn na cześć szatana i ten hymn rozlega się po jego kraju: nie przeraża, nie gorszy, nie szkodzi swemu autorowi, powtarzają go tysiące. Z nim szli w ogień młodzi ludzie w obronie swojej ojczyzny, przekonani, że jej służą: strach pomyśleć, że wielu z nich padło może z tem bluźnierstwem na ustach, i że w tej chwili upomniał się o swoje do nich prawo ten, którego dobrowolnie uznali swoim panem. Straszny był ten wybuch nienawiści Boga, który Milton kładzie w usta szatana: ale Carducciego *Hymn* jest straszniejszy, bo tam nie człowiek za szatana, ale człowiek do szatana, od siebie, wznawia tę przysięgę wierności jemu, nienawiści Bogu. Jakim tonem tryumfu oświadcza człowiek szatanowi, że on już zwyciężył; z jaką pewnością grozi Bogu i jego sługom, że szatan zwycięzca nie cofa się nigdy! Straszniejszego nie powiedział nikt nigdy nic, i krew się ścina w żyłach z przerażenia: nie tej groźby i wróżby zwycięstwa, które jest marną przechwałką, ale kary, jaką te słowa, nie odparte, nie skarcone, przyjęte przez część tego narodu, mogą sprowadzić na jego głowę. Kiedy Żydzi wołali „krew Jego na nas i na nasze syny" rzucili sami na siebie przekleństwo; uznanie szatana, jego cześć i służba, czy nie okaże się z czasem przekleństwem podobnem? Oby nie. Wiara, prośba, cnota, świętość tylu zmarłych i tylu żyjących w tym pięknym włoskim kraju przeważy może to zbluźnienie Boga i odwróci przekleństwo. Wiem, że te czułe umizgi do szatana są wyjątkiem: u Car-

ducciego szczerym wyrazem nienawiści szalonej; u innych, gdzie się zdarzają, są nawet nie rzetelnym wyrazem duszy tylko udaniem, maską, rolą, przybraną dla efektu, dla zdziwienia czy przerażenia gawiedzi. Te nie są tak straszne, jak ów hymn: za to są podlejsze od niego i głupsze. Ale wspominam *Hymn do szatana* dla tego, że on jest znakiem czasu, poniekąd wyrazem najgłębszej ukrytej treści naszych współczesnych dziejów, określeniem stanu rzeczy. Tak bo jest: nasz świat dzisiejszy coraz bardziej, coraz wyraźniej, sam o tem nie wiedząc może, rozchodzi się w dwa kierunki, na dwie strony, pod dwa sztandary. Na jednym stoi napisane: z Bogiem; na drugim przeciw Bogu. A wszystko, ludzie, rodziny, narody, nauki, sztuki, państwa, rządy, ciała prawodawcze, filozofie, bogaci i ubodzy, uczeni i prostacy, mają wybierać, mają stanąć pod jednym, albo pod drugim sztandarem.

Pod którym stanie większość?

„Szatan się nie cofa“. Carducci ma racyę, kiedy to mówi, i szatan teraz wytęża swoje siły i swoje zdrady, żeby tę większość mieć, żeby zwyciężyć. Ale on ani już zwyciężył, ani zwycięży kiedykolwiek w przyszłości. W tem się myli, w tem się przerachował on i jego słudzy. A choć jego siły i jego wysilenia większe są dziś, niż przed stu laty, to jemu do zwycięztwa dziś jest dalej, jak wtedy.

W historyi XVIII wieku, w historyi rewolucyi francuskiej, spostrzega się ze smutkiem jeden

fakt dziwny. Kościół się nie broni: broni się stanowczo za mało. — Szturmów ówczesnej filozofii i nauki nie odpiera równą bronią, z równą siłą: nie wykrywa ich błahości, nie zdziera maski, nie obnaża z błyszczących pozorów; nie stawia swojej affirmacyi, swojej prawdy, naprzeciw potwarzy i fałszów Voltaire'a, naprzeciw paradoksów Rousseau'a. Nie działa na przekonania, przynajmniej działa nie dość silnie, nie dość świetnie. Nie otwiera oczów zaślepionym, nie wstrząsa sumień i serc, dobrych często, a otumamionych. Nie dziw, że potwarz, że fałsz, że paradoks szerzył się szybko i silnie, kiedy przeszkód spotykał mało. Ale dziś jest inaczej. Obrona nie dość czujna i czynna przez cały ciąg XVIII wieku, ocknęła się z jego końcem. W dawnej literaturze polskiej jest ciekawy obraz naszej Rzeczypospolitej, apokaliptyczne niby widzenie jej upadku. Wszystko zda się stracone, kiedy zbudził się pierwszy zmysł niebezpieczeństwa i zatrąbił na alarm, a wtedy zbudził się i duch publiczny, i rada, i męstwo, i sprawiedliwość, i religia z poniewierki wstąpiła na tryumfalny rydwan, i *Gloria Perennis* zamieszkała w tym obozie, bliskim niby zagłady. Obraz to podobny do stanu Kościoła w wieku XIX. Zbudził się zmysł ratunku, a wtedy, co żyło, rzuciło się do obrony. Filozofia, nauka, sztuka, poezya, miłosierdzie, Zgromadzenia zakonne, jedne nowe drugie odrodzone, stowarzyszenia ludzi świeckich, kaznodziejstwo wszystkich językówi rodzajów, wszystko stanęło do apelu. Fakt dzi-

wny: romans, romans francuski, ten, który tak bardzo przyczynił się do zbrukania wyobraźni przez to do przewracania głów i stępienia sumień, romans francuski rozchodzi się dziś na dwie strony. Po jednej tak gorszący, jak trudno więcej, po drugiej nawołuje do zwrotu, do poprawy, do moralnego uzdrowienia, i wprost, otwarcie nawołuje do wiary i Kościoła, przez jednego z najświetniejszych swoich pisarzy (Bourgeta). Wszystko to na hasło: „Bez Boga", „Przeciw Bogu", odpowiadało chórem: „Nieprawda! z Bogiem i do Boga". Ten postęp katolickiego odrodzenia odbywał się bez przerwy w pierwszej połowie XIX wieku: w drugiej objawił się i skupił w wielkich postaciach dwóch Papieży. Po Piusie IX mogą być prześladowania i uciski Kościoła, nie może być jego rozprzężenia. Po Leonie XIII żaden katolik nie może się wymawiać, że nie wie dobrze, jaka jest nauka Kościoła i jaki jego obowiązek, jako katolika, we wszystkich duchownych, czy świeckich stosunkach. Która jest kwestya, sprawa, którejby on nie był objaśnił, i nie wskazał, jak katolik ma ją pojmować i w niej się zachować. Stosunek człowieka do Boga, ojca do rodziny, poddanego do zwierzchnika i rządzącego do poddanych, bogatszego do ubogiego i nawzajem — wszystko to mamy przypomniane, wytłómaczone, postawione, jak drogoskazy wśród manowców, jak latarnie w ciemnościach. W tych Papieżach znalazł świat katolicki nową siłę, nowy popęd i za nich, przez nich w ogromnej czę-

ści, dokonało się materyalne rozszerzenie, a moralne umocnienie katolickiej świadomości. Nawet za Soboru Trydenckiego, za Piusa V i Sykstusa V, za Św. Ignacego i Św. Teresy, nie obejmowało ono takich przestrzeni, nie przenikało tylu dusz. I może dlatego odwieczny nieprzyjaciel tak się bierze na wszystkie sposoby i wysila się w wa - ce, że widzi odrodzenie chrześciaństwa, jakiego nie przewidywał: zobaczył, struchlał, i powiedział sobie, że chwila stanowcza, walka o śmierć i życie, że trzeba mu koniecznie zwyciężyć, albo — nie zginąć, bo i on do końca świata nie zginie, — ale sromotnie przegrać, i na długo.

W tem odrodzeniu wiary i katolickiej jedności wiele znaczyła, wiele sprawiła niewidzialnym sposobem cześć Najświętszej Panny i Jej przyczyna, tego nie możemy widzieć i zliczyć. Ale nie możemy wątpić, że tej przyczyny nie brakło, a musimy widzieć, że ta cześć wzmagała się i rosła. Mnożyły się nowe, przedtem nieznane formy nabożeństwa. Miesiąc maj obchodzi się na tę cześć w całym katolickim świecie. Dawne, tradycyjne, uświęcone wiekami, jak Różaniec, odżyły i rozkrzewiły się z nową siłą. W imię tej czci powstawały nowe Zgromadzenia zakonne — a miło wspomnieć, że u nas powstało jedno pod wezwaniem i na cześć Niepokalanego Poczęcia — powstawały Stowarzyszenia ludzi świeckich, jak ta u nas niedawna, a już tak rozszerzona Sodalicya, jak te Kongresy Maryańskie, z których nasz dzisiejszy jest jednym. Jakżeby w odpowiedzi na ten nowy

wybuch czci, wybuch nowych łask i cudów, Lourdes, Pompei: a jako szczyt tej czci i wezwanie tych łask, jako wyraz najwyższy tych do Matki Bożej potężnie zwróconych uczuć katolickiego świata, ogłoszenie Dogmatu Niepokalanego Poczęcia.

Czas dzisiejszy, to czas nie ostatniej, nie stanowczej jeszcze, ale bardzo ciężkiej, bardzo ważnej, walki dwóch zasad: Bóg i Jego prawo, Jego służba, albo człowiek i jego żądza, jej używanie! Co wyższe, co prawdziwe, w czem życie, a w czem zguba, w czem postęp i możliwa szczęśliwość ludzkich społeczeństw, a w czem „wzajemne bestyj pożeranie się“? Cześć Najśw. Panny w tej walce, w tym czasie, to broń i tarcza; tarcza, co zasłania od złego, broń, która pomaga złe odpierać i pokonać. Jak dawniejsze rycerstwo polskie, tak dzisiaj świat katolicki idzie w ten bój, wołając wszystkiemi językami ziemi: Boga Rodzico Dziewico ziść nam Twego Syna zbożny czas!

II.

Jest na tej kuli ziemskiej jeden punkt, szczególnie wystawiony na pociski i na niebezpieczeństwa. Jego losy dowodzą, że grzechy zaniedbania są straszne; bo on złego zrobił niewiele, ale dobrego wiele zaniedbał, i to się na nim pomściło, zrazu uszczupleniem granic, potem rozbiorem, potem zagładą, zawieszoną nad nim przez podwójnych potężnych nieprzyjaciół, i społeczną niejed-

nością, stopniowem i systematycznem duszeniem w nim wiary. Ten naród z innymi pospołu należy do tej walki pomiędzy Bogiem a bezbożnością, pomiędzy wiarą a jej przeczeniem, która się toczy w całym świecie. Wystawiony na wszystkie zarazy złego, wciągał w siebie ich pierwiastki: a w obronie dobrego jest albo zupełnie skrępowany, albo co najmniej pozbawiony swobody ruchów. Sprzysiężenie na jego życie polityczne, jako narodu, złączone jest ze sprzysiężeniem na jego życie duchowe, jego wiarę, bo to najpewniejszy środek i konieczny warunek tej zagłady.

Do tego spisku i planu nieprzyjaciół zewnętrznych pomaga to podkopywanie wiary i Kościoła, które się odbywa u nas, przez niektórych z nas. Jesteśmy jak w twierdzy, oblężonej przez przemożne siły, w której część załogi, choć nie jest w zmowie z nieprzyjacielem, choć chce i mniema przeciw niemu działać, przecież swem zachowaniem się jemu pomaga, jego celom służy. W tem podwójnem niebezpieczeństwie jak my się bronimy, czem możemy się bronić, jakie nasze położenie, jaki rozmiar niebezpieczenstwa i jakie siły obronne?

Przeszłej wiosny Ojciec św. Pius X mówił do jednego z uczestników pielgrzymki polskiej: „Jesteście bardzo nieszczęśliwi, ale jednak szczęśliwsi od wielu, boście od wielu wierniejsi". To świadectwo zdaje się zasłużone. Nie mierząc ani porównywując się z innymi, możemy jednak wnosić, że wiara jest u nas jeszcze dużą, skoro jej przeci-

wnicy i nieprzyjaciele u nas nie występują jeszcze tak jawnie i śmiało jak u innych; starają się zachowywać pozory. To znak, że niedowiarstwo i bezbożność boją się od siebie odstraszyć tych, których chciałyby pozyskać i prowadzić, przedewszystkiem lud wiejski. Dlatego tak często w ich ustach: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, dlatego nierzadka wzmianka o Matce Boskiej i o wierze. Ta obawa, to ukrywanie się, to dobry znak, że jest u nas silny grunt katolickiego uczucia i przekonania: ale o to chodzi, to nasze zadanie i nasz obowiązek, aby go nie dać podminować i zachwiać. Nie cieszmy się zbytecznie naszem bezpieczeństwem, nie usypiajmy się niem, bo niebezpieczeństwo jest, i postęp złego znaczny, i dość głęboko sięgający.

Kiedy rząd rosyjski zamyka kościoły, zgromadzenia zakonne skazuje na wymarcie, biskupom utrudnia pełnienie pasterskiego urzędu, święcenie kapłanów i ich obsadzenie na parafiach czyni zależnemi od egzaminu z rosyjskiego języka i literatury przed świeckim i prawosławnym egzaminatorem, który ten egzamin jak najrzadziej uznaje za dostateczny, rząd ten ma na celu zniweczenie katolickiego Kościoła. Liczy, że im mniej będzie księży, tem mniej nabożeństw i Sakramentów, tem mniej religijnego życia, a z czasem lud odwyknie od niego, a jakiegoś pragnąc i potrzebując, da się kiedyś zwabić do cerkwi.

Kiedy rząd pruski buduje w Wielkopolsce swoje protestanckie kościoły, a katolickie seminarya

i kapituły zapycha Niemcami o wiele nad potrzeby Niemców katolików, czyni to z tym celem i wyrachowaniem, że ludność polska, rażona w swojem uczuciu narodowem przez proboszcza Niemca, odstręczy się pomału od Kościoła, a z czasem da się przeciągnąć do protestanckiego.

Na to my niemożemy poradzić nic, jesteśmy bezbronni. Kiedy rząd austryacki, obserwując skrupulatnie swoje stanowisko konstytucyjne, wolność wyznań i wolność druku, patrzy przez szpary na szkody i zniewagi zadawane bezustannie wierze katolickiej, my może nie bylibyśmy tak bezbronni. Ten rząd, który się tak boi interpelacyi bezbożników albo socyalistów, że przepuszcza nadużycia i bezprawia ich organów i stronników, mógłby tak samo i powinienby, bać się interpelacyi katolików. Dla czego się nie boi? Dla tego, że katolicy w wiedeńskiej Radzie Państwa byli zawsze od początku w mniejszości, a nie wytworzyli z siebie takiego zwartego katolickiego zastępu, jakiem jest centrum w parlamencie niemieckim. Leon XIII, zapytywany w rozmowie z zaufanymi, czy nie jest zbyt łagodnym i cierpliwym na prześladowania Kościoła we Francyi, miał odpowiedzieć, że przemawiałby i działałby ostrzej, gdyby we francuskiem Ciele Prawodawczem miał punkt oparcia, choćby najmniejszy ale zjednoczony, pewną grupę katolików: ale jej nie widzi. Są katolicy liczni, niema związku katolików i ich wspólnego działania. Podobnie jest w Izbach austryackich. Katolików nie

brak, ale brak między nimi zjednoczenia, przez to siły, przez to odwagi i inicyatywy. Może kto powie, że ta odwaga i inicyatywa mogłaby się znaleźć w Kole polskiem, tak jednomyślnie występującem, tak roztropnie politycznem: ono mogłoby stać się siłą przyciągającą i środkiem ciężkości dla katolików innych narodowości, z całej Izby z obu tych Izb. Zapewne: takby być mogło, ale tak być nie może. Sama rozmaitość uczuć i interesów narodowych w tem państwie i jego ciele prawodawczem, sprawiłyby, że akcya katolicka wychodząca z jednego narodu byłaby podejrzaną innym. Prócz tej przeszkody zaś jest inna, która tkwi już w nas samych. U nas każdy dla siebie jest katolikiem, i chce nim zostać na zawsze, ale nie każdy rozumie, że jednolite działanie w katolickim duchu jest potrzebne nie ze względów religijnych tylko, ale nawet z politycznych. Do tej świadomości nasze społeczeństwo, całe jak jest, jeszcze nie doszło. I to jest jednem z tych niebezpieczeństw, które nam grożą: nie największem, ale też i nie najmniejszem, nie małem. Dla czego u nas, mimo bardzo rozszerzonych i bądź co bądź zakorzenionych katolickich uczuć, jest tak mało katolickich przekonań, tak mało zgodności tych uczuć z postępowaniem?

Dla tego, że z natury i z naszego historycznego wychowania mamy wrodzoną i zakorzenioną miłość wolności, ale nie mamy jej dobrego rozumienia. Nie mieliśmy go za Rzeczypospolitej niepodległej: po rozbiorach nabraliśmy go — niektó-

rzy tylko, i do pewnego stopnia — w sprawach świeckich; ale i w tych nie dosyć, bo nie nauczyliśmy się jeszcze rozróżniać między istotą i warunkami wolności, a jej pozorami. Bierzemy dotąd zbyt często słowo za rzecz: i kiedy nam powiedzą wolność, a dopieroż postęp, albo demokracya, my nie umiemy jeszcze patrzeć i pytać, czy to wolność prawdziwa, czy jej nadużycie na korzyść jednej dążności: czy ten postęp po niejakim czasie posunie nas naprzód, czy cofnie wtył: czy ta demokracya jest rozumiana i praktykowana, dobrze i zdrowo, jako harmonia i siła w społecznym organizmie, czy źle, jako zazdrość i nienawiść między częściami tego organizmu. Słowa i hasła imponują nam, magnetyzują nas: przyjmujemy je bez zastanowienia i bez krytyki. To usposobienie objawia się w naszem pojmowaniu i traktowaniu kwestyj i spraw religijnych. Przez ciąg XIX wieku, tego właśnie, w którym ustalały się i dojrzewały przekonania katolickie w całym świecie, my byliśmy wszędzie i zawsze pod wpływem pojęć przeciwnych i przeczących. Pojęć rosyjskich nie przyjmowaliśmy wcale, aż do ostatniej ćwierci tego wieku, to jest nabytek nowy: ale choć nie groziły nam pod rządem rosyjskim urzędowe pojęcia schizmatyckie, to katolickie nie mogły się między niemi swobodnie szerzyć i głębiej zapuszczać, ani przez szkołę, ani przez literaturę, ani przez Kościół i kaznodziejstwo. Wpływy anti-katolickie za to dochodziły stale z zewnątrz, przez każdą francuską czy tłómaczoną niemiecką książ-

kę, przez każdą gazetę, i kształciły przez pokolenia nasze pojęcia o kościele i o społeczeństwie świeckiem.

Pod dwoma rządami niemieckimi, wpływ książki naukowej, książki szkolnej, wpływ gazety, był jawnie lub skrycie, ale zawsze protestancki. W niby katolickiej Austryi historya kościoła, i historya powszechna, uczona była zawsze z dążnością antikatolicką. Pokolenia rosły i kształciły się w tem wyobrażeniu, że Kościół zawsze nadużywał swojej władzy, a racyę miał i sprawie postępu służył ten, co się tej władzy opierał, lub z niej wyłamywał. Te wyobrażenia padały na dobry grunt umysłów czy natur polskich, zawsze skłonnych do tego, by widzieć despotyzm i ucisk we władzy, a wolność i jej obronę w każdej, jakiejkolwiek oppozycyi. Tym sposobem przeszło nam w nas to pojęcie, że Kościół katolicki to despotyzm, a wolność myśli jest tylko poza nim, i potrzebuje jego ograniczenia, krępowania, poniżenia.

Dla tego niema u nas wyrobionej i pewnej katolickiej świadomości, niema ufności do Kościoła, i niema odwagi do jego obrony, bo niema prawdziwej znajomości jego istoty i jego historyi. Wrodzony zaś i zadawniały brak stateczności, konsekwencyi, sprawia że nawet kiedy mamy katolickie uczucia, i trzymamy się ich w życiu prywatnem, nie czujemy potrzeby, nie poczuwamy się do obowiązku, objawiania i stosowania ich w życiu publicznem.

Takie było tło. Na niem w drugiej połowie XIX wieku zaczęły się ukazywać pomiędzy ludźmi

oświeconymi coraz wyraźniejsze ślady różnych wpływów współczesnych filozofij i literatur, coraz bardziej odbiegające nie już od zasad, ale i od uczuć katolickich. Filozofia, która się zwała pozytywną, uczyła nas, że prawdziwem jest tylko to, co stwierdzone doświadczeniem i zmysłami: zatem Bóg i dusza są co najmniej wątpliwe. Mogą być, ale nie mogą być dowiedzione. Na argument, że jednak doświadczenie nieraz stwierdziło istność i Boga i duszy, odpowiadano, że to nie wystarcza, bo zmysł żaden tej istności nie poznał. Z dawnej nauki Straussa, odnowionej i ponętnie podanej przez Renana, dowiedzieliśmy się naprzód, że wszystko co nadprzyrodzone jest urojonem, a powtóre że bóstwo Jezusa Chrystusa jest takim samym mythem jak bóstwo Jowisza. Z nauki Darwina wyciągnięto wniosek — którego on sam może tak śmiało nie wyciągał — że świat nie był stworzony, ale złożył się jakoś sam nieświadomem działaniem nieświadomych sił natury. Logicznie wynikały z tych założeń dalsze wnioski: Wiara chrześciańska jest tylko dalszym ciągiem, nową ewolucyą różnych starych mythologii. Dusza nie jest nieśmiertelną: a człowiek nie jest odpowiedzialny za to co robi, bo to nie wynika z jego woli tylko z jego fizycznej natury, ze składu jego mózgu. Oto prawdy, do których doszedł umysł ludzki i nauka — a wszystko inne, wiara przedewszystkiem, jest przesądem, zabobonem, nie godnym rozumnego człowieka!

Wszystkie te mniemane prawdy nie były nowe, powtarzały się sto razy pod innemi nazwami, i sto

razy się zaprzeczyły — ale ogłosiły się za nowe: a skoro nowe to postępowe, a skoro postępowe to trzeba je chwytać, wyznawać, bo inaczej nie będzie się człowiekiem rozumnym, oświeconym i postępowym!

Rozchodziły się te pojęcia szybko i szeroko. Przyciągały pozorami naukowymi, działały na starszych i na młodych, działały na kobiety. U jednych, mniej licznych, były podszyte prawdziwą i namiętną nienawiścią chrześciaństwa, u innych kołysały się w błogiej a błahej niekonsekwencyi, w pół naukowem niby a pół nerwowem rozmarzeniu. Skutkiem był znaczny wzrost niedowiarstwa w oświeconej warstwie narodu.

Niedowiarstwo zaś musi zawsze mieć swoje logiczne i niechybne skutki. Za przeczeniem wiary idzie ślad w ślad nauka moralności nie opartej na przykazaniach boskich, niezależnej. Bardzo modna we Francyi, a tam tak skutkami uwidoczniona, że mogła być przestrogą i odstraszającym przykładem, doszła i do nas, znalazła powodzenie, i adeptów.

Dawna filantropia XVIII wieku, ta, która uczyła że człowiek dla własnej przyjemności powinien być dobrym dla drugiego człowieka, odżyła pod innem nazwiskiem. Nie dla miłości Boga i na jego rozkaz, ale z własnego popędu i dla własnego dobra, człowiek powinien służyć ludziom, ideom, sprawom, ojczyźnie; a poświęcenie dla nich mieć za piękne i szlachetne. Samolubstwo, egoizm, to brzydkie: jego przeciwieństwem jest altru-

izm. Ta nowa cnota której nazwa uformowana jest na wzór egoizmu, nie jest tak nową jak jej nazwa. Znana była dawno, jako miłość bliźniego i poświęcenie; ale ta przestarzała nazwa trąciła przesądem, ewangelią, katechizmem, i miała w sobie jakieś niemiłe pojęcie zależności człowieka od Boga. Altruizm jest wyższy i lepszy, bo wypływa z własnego tylko popędu i rozumu człowieka, w zupełnej niezależności od wszelkiego jakiegoś nadanego czy nałożonego prawa. Moralność zaś — jeżeli potrzebna (bo nie wszyscy stawiają się po nad złem i dobrem) dopiero wtedy jest prawdziwie wysoka i dobra, kiedy jest niezależna, kiedy wynika jedynie i wyłącznie ze świadomości człowieka. Ta niezależna moralność *(la morale indépendante)* to także nie nowy wynalazek. Nie tak ją nazywali, ale taką wyznawali i praktykowali mężczyźni tacy jak Voltaire, kobiety takie jak Katarzyna. Te pojęcia zrobiły wiele złego między kobietami. Pozory naukowe, połączone z obudzoną a nie zawsze dobrze zrozumianą chęcią zrównania z mężczyznami, wydały pewną liczbę młodszych i nawet starszych głów niewieścich mocno zamąconych i „wyższych nad przesądy“ — przynajmniej w słowach. Tym razem niekonsekwencya jest szczęśliwą: ona sprawia różnicę między teoryą a praktyką. Ale niekonsekwencya jest czasem istotnie zdumiewająca. Są panie, dobre, przykładne, pobożne, chodzą do kościoła i do sakramentów, a to im nie przeszkadza dowodzić w rozmowach, że niedaleki już czas

kiedy wszelka religia stanie się niepotrzebną, a zastąpi ją wiedza i sztuka! Ta sprawa wychowania kobiet i ich praw, jest także jedną z tych w których złe podkrada się pod dobre, fałsz pod prawdę: i jeżeli ta sprawa będzie zepsutą, może zepsuć rodziny i społeczeństwo na długo.

A mężczyźni? Mówi się zawsze tak wiele o zepsuciu XVIII wieku: było wielkie, ale nie dziwne. Upadek wiary pociąga za sobą upadek obyczajów, bo stępia sumienie i uczucie odpowiedzialności. Jak jest w związkach małżeńskich, w obyczajach młodzieńców? ufajmy że nie jest źle. Ale jednak zmysł sumienia i honoru musi u nas być przytępiony, i znacznie, bo nieuczciwości pieniężnych nie było nigdy tak wiele jak teraz. Co chwila słyszy się o sprzeniewierstwach, o podrabianych wekslach, w kasach należących do Instytucyj publicznych okazują się deficyta. Ludzie, za których uczciwość byłoby się ręczyło choćby głową, okazują się nieuczciwymi. Istna i sromotna epidemia, której nie brak wiary sam winien, której ulegają niestety i katolicy; szerzy ją żądza zysku i różne ułatwiające go sposoby. Ale gdyby sumienie chrześcijańskie było czujniejsze, gdyby w społeczeństwie żywsze i bardziej obudzone, to ono byłoby hamulcem, prezerwatywą przeciw zarazie, i strzegłoby skuteczniej i ludzi, i instytucye, i dobrą sławę społeczeństwa.

Na schyłku wieku przybył jeden jeszcze środek czy pierwiastek rozkładu chrześcijańskiej i polskiej duszy. Chorobliwe zniechęcenie, zwątpienie

we wszystko, pragnienie jakiegoś spokoju w niebycie. Prawdziwe czy udane? Jakiekolwiek jest, jest karykaturą dawnego byronizmu, dawnego *Weltschmerzu*, od tamtych śmieszniejszą, ale i niższą i brzydszą razem, bo tamte na dnie chorobliwego, często wmówionego cierpienia, miały przecie jakieś pragnienie, i szlachetne, były formą chorobliwą miłości dobrego, ale przecież jej formą.

Na finał przychodzi nauka, że człowiek jest wyższy nad złe i nad dobre, sam sobie jest prawem, i jego żądza. Ta dotąd wiele spustoszeń nie zrobiła, spodziewajmy się, że ich wiele nie zrobi; ale oporu, gdy się zjawiła, nie dość napotkała. Są pisma niedługotrwałe zapewne, które to hasło chwytają, tę naukę głoszą, i dowodzą, że ona jednak bez spustoszenia nie przechodzi.

Upadek wiary, i stępienie sumienia, objawia się po części i w bieżącej literaturze. Przez wszystkie wieki swego życia miała ona tę chwałę i zasługę, że była prawa, była czysta. Nie przyzwoita czasem w konceptach i żartach, przewrotną i gorszącą nie była. Nawet w okrzyczanym i osławionym wieku XVIII jest w niej tego zepsucia nie wiele. Teraz, za przykładem zapewne tych Francuzów, którzy dla effektu piszą sprosności, albo tych Niemców czy Skandynawów, którzy piszą paradoksa i sprosności dla idei, niektórzy z naszych pisarzy lubują się w rozpustnych lub sprosnych obrazach i sytuacyach. Dają oni czasem, na okrasę czy wymówkę, jakąś niby moralną tendencję w zakończenia. To nie pomoże

i nie zasłoni. Rzecz bardzo nieprzyzwoita może nie być przewrotną: taka która rozkłada i rozwiesza różne fizyczne sensacye i wrażenia, choćby się zasłoniła moralną nauką jak listkiem figowym, będzie zawsze sprosna.

A literatura wprost bezbożna, bluźniercza, czy jest? Niestety tak; maskuje się, udaje że nie w wiarę godzi tylko w jej sługi, albo w jej nadużycia (rzekome), ale w pismach peryodycznych odzywa się ta nuta nieraz. A wreszcie, nowość pierwsza odkąd jest literatura polska na świecie, i nowa a wielka boleść: zbluźnienie Matki Najświętszej, w słodko poetyczno idyllicznym tonie na wzór Renana. Tego jeszcze żaden pisarz polski dotąd nie zrobił; tego nie robili pisarze protestanccy XVI wieku. Trembecki raz, mimochodem, żartem zgrabnym a obwiniętym w bawełnę. Ale Trembecki był — Trembecki! a prócz tego o tyle lepszy, o ile bluźnierczy żart jest mniej zły od bluźnierstwa obłudnie ukrytego pod maską jakiegoś niby poetycznego i czułego współczucia. Co jeden człowiek myśli albo pisze, za to on jeden tylko odpowiada. Ale to zbluźnienie Niepokalanej Bogarodzicy, czy wywołało oburzenie silne, jawne, wyraźne? Nie: w każdym razie nie dosyć. I to jest gorsze; bo kto przeciw złemu nie protestuje, kto go nie odpiera, kto mu biernie pobłaża, ten choć nie chce, staje się jego uczestnikiem i pomocnikiem.

Ten ubytek katolickich uczuć, a wzrost bezbożnych pojęć musi dochodzić do młodzieży. Spra-

wiają go książki, dzienniki, sprawia także niedbałość, obojętność, czasem wprost przykład rodziców. Szkoła i szkolne wychowanie u nas winy w tem niema: co w granicach ustaw obowiązujących w tem państwie robić może, to robi żeby religijne wychowanie utrzymać. W niektórych indywiduach możnaby życzyć więcej gorliwości, więcej wiary: ale na szkołę, jako taką, odpowiedzialność nie spada. Tylko szkoła nie ma sposobu przejrzeć ani zniweczyć złych wpływów, które na młodzież działają w domu. Cóż ona poradzi na to, że chłopiec, jak to jeden wprost nauczycielowi oświadczył, nie uczy się religii, bo mu ojciec powiedział, że katechizm niepotrzebny? Czyta się w pismach przeznaczonych dla uczniów, słyszy się czasem rzeczy gorszące z ust niedowiarków; padały bluźnierstwa nawet z ust dziewczęcych. Jakimi będą ci młodzieńcy jak dorosną? jakich wydadzą synów? Rzadko, wyjątkowo, ale zdarzają się przecie wypadki rozpusty sromotnej: a zepsucie obyczajów zwyczajne i proste czy jest rzadkiem, czy nie jest raczej częstem? Nie było takiem przed laty, kiedy nie było, lub mniej było książek i pism peryodycznych, uwodzących młody umysł do niewiary, zachęcających go do niemoralności.

To jest jedno z niebezpieczeństw zawieszonych nad naszą przyszłością jako społeczeństwa moralnie i fizycznie zdrowego, silnego: zatem nad naszą przyszłością jako narodu. Jedno z wielkich. Kamień młyński zapowiedziany tym, którzy gor-

szą maluczkich, może pogrążyć w głębokości morza nie ich samych tylko, ale Polskę z jej przyszłością.

A jak do dzieci szkolnych, tak przecieka, przesiąka niedowiarstwo do ludu wiejskiego. Trudno z nim, bo jest wierzący i pobożny. Nie można wprost i otwarcie, trzeba stopniowo i ostrożnie. Tak się też idzie, i nie zupełnie bez skutku. Nie mówi mu się odrazu z góry „ty nie wierz w Pana Boga, nie chodź do kościoła, do spowiedzi" — toby było za śmiało, za prędko. A jednak trzeba koniecznie oderwać go od Kościoła, wyzwolić go z pod panowania zabobonów i klechów, zrobić go człowiekiem niezależnym i oświeconym! — czyli, zależnym od nas, wrogów chrześcijaństwa, i ślepo za nami idącym. Przystępuje się do niego z boku, krytym sztychem. Nie uderza się na wiarę, szanuje się niby Kościół i Papieża, Pana Boga wspomina się pobożnie: tylko jak w oblężeniu fortecy kopie się aprosze i miny przed szturmem. Podkopuje się wiarę dłuższą drogą; korzysta się z każdej ułomności księdza naprzykład, a dopieroż z jego jakiego przewinienia, i zaszczepia się naprzód nieufność do kapłana. Gdzie mu nic zarzucić, nic wytknąć nie można, tam jeszcze powie się, że ten ksiądz jest nieczuły na niedolę ludu, albo że z panami trzyma: i pierwszy krok zrobiony. Za tym następuje drugi: niewiara ocukrzona współczuciem, pożałowaniem. „Wam tyle potrzeba, tak wam wiele brakuje: czy to ksiądz, gdyby był naprawdę do-

brym pasterzem, nie powinienby za was się upominać, o was mówić, wołać, krzyczeć. Ale tego nie robi: nie jest pasterzem! a Biskup? nie lepszy: o tem myśli, żeby księży trzymać w ryzach, w ślepem posłuszeństwie dla siebie, a o biednym ludzie nie myśli".

Takie słowa robią wrażenie; człowiek ubogi, przyciśnięty wieloraką potrzebą, a do zastanowienia niebardzo zdolny, nie może ich nie słuchać, i daje ufność temu kto je mówi. Wtedy może już wystąpić taki, który się za dobrego pasterza ogłasza, i uczy, że on weźmie ten nieszczęśliwy lud w opiekę i obronę. On jeden działa w myśl Zbawiciela i według jego prawa, on ma prawo wykonywać wszystkie funkcye kapłańskie, nawet gdyby mu to było wzbronionem przez władze duchowne, bo on ma słuszność, a władza duchowna krzywdzi i prześladuje jego, i lud! Znajduje zwolenników, nawet fanatycznych, i stawia ich w nieposłuszeństwie względem biskupów, odwodzi ich od Kościoła, bez ich wiedzy najczęściej, bez zrozumienia zawsze, ale rzeczywiście.

To już znak zły, znak, że usposobienie religijne ludu w pewnej jego części uległo zepsuciu. Szerzą je dalej dzienniki i książki. I na tem polu występuje ta sama metoda i sztuka szczepienia złego na dobrem. Społeczeństwo się przemienia, przerabia w swoim stosunku sił, lud wiejski występuje w niem coraz więcej jako siła działająca i znacząca: po całej Polsce rozlega się hasło oświaty ludu, uświadomienia ludu. Haslo dobre,

i cel dobry: ale w wykonanie podkrada się duch i cel zły. Pisma i książki dla ludu przeznaczone, między lud rozrzucane, w znacznej, w bardzo znacznej części wymierzone są przeciw jego wierze. Jedne zręcznie, pod maską, inne otwarciej, śmielej: ale zgodnie. Mierzy się już nie w tego lub owego księdza czy biskupa: podsuwa się raz po razu pytanie, budzi się wątpliwość, czy to co ten ksiądz uczy, czy ta wiara jest prawdą? I to odnosi skutek. Włościanie starsi nie bez trwogi widzą jak młodzi poddają artykuły wiary pod sąd swojego rozumu, i głoszą, że oni w to tylko wierzą co ich rozum uznaje. Ci stanęli na tem stanowisku niezależności na którem ich widzieć chciano: ci już dojrzeli, i mogą słuchać nauk, które ich wyzwolą z pod przesądów! I wtedy tłómaczy się, sprzedaje się za bezcen w jarmarkowych i odpustowych kramach, rozdaje się nawet za darmo, Renana Życie Jezusa. Równocześnie dla oświeconych bluźniercza Legenda o Matce Najświętszej: dla ludu nauka, że Pan Jezus był bardzo sympatycznym młodzieńcem i znakomitym człowiekiem, ale nie Bogiem.

Nie brak niestety wyraźnych a smutnych oznak tego wpływu; wiara i pobożność jest zachwiana w małej części ludu, ale przecież w jego części. Bluźnierstwa rzucane bezmyślnie, po pijanemu, są złe i przykre, bo człowiek po pijanemu nie mówi tego, czego po trzeźwu nigdy nie myślał. Ale są mniej złe, niż rozmyślne, ze świadomością i zamiarem pisane i rozsiewane rozprawki, w któ-

rych niema bluźnierstwa, niema niby nic przeciw wierze, ale jest pod pozorami zgodności z Chrystusem i z Leonem XIII walka z duchowieństwem, i oskarżenie przeciw niemu niesprawiedliwe, a uwodzące do nieufności i niechęci. Lud wiejski nietylko czyta rzeczy pod względem religijnym złe, ale zaczyna je już sam pisać.

Do tego wszystkiego socyalizm. I ten się u nas maskuje, udaje pobożnego, przynajmniej zgodnego z religią, czasem nawet nadużywa imienia Leona XIII i podszywa się pod Encyklikę *Rerum novarum*, jak zresztą lubią robić różni przeciwnicy nauki Kościoła, i nauk tej Encykliki, którą do swoich celów nakręcają. W zasadzie swojej, w samej swojej istocie, przeciwny religii chrześciańskiej, przeciwny miłości bliźniego, jak ona ją określa i nakazuje, przeciwny samej naturze ludzkich społeczeństw. Nikt mu tego wyraźniej, nikt lepiej nie powiedział, jak właśnie ten Papież, na którego się czasem obłudnie powołuje. Ale na ludzi ubogich, a patrzących na bogatszych od siebie on działać musi, i łatwo ich uwodzi swojemi hasłami i obietnicami. Uwodzi też u nas, nie tak jeszcze licznie może, jak gdzieindziej, ale niemniej przewrotnie, a nie bez skutku.

Wieluż to razem nieprzyjaciół sprzysiężonych na wiarę katolicką w Polsce, wiele niebezpieczeństw, wiele sił, które oblegają jak różne sprzymierzone wojska nasz katolicki obóz! Jeszcze jednego mają sprzymierzeńca, który im wiele sił nie doda, ale zawsze cokolwiek zamieszania,

cokolwiek złego sprawić może. Ten nie odrzuca wiary i religii, przeciwnie on ją uznaje, podnosi; apostołuje, i... poprawia. W czasach zamętu zjawiają się zwykle ludzie, którzy nad nim cierpią, którzy chcieliby go rozjaśnić i uspokoić, a uspokojenia szukają w Bogu, w Nim je wskazują; tylko chcą do niego dążyć sami i drugim dążyć każą, drogą nie tą, którą wskazał Bóg, ale tą, którą oni sami wynaleźli. Lat temu sześćdziesiąt był towianizm; teraz w dalszym ciągu tego samego zamętu i w jego wyższym stopniu, zjawia się towiańszczyzna, trochę odmienna od dawnej, nie lepsza od niej; tem zwłaszcza odmienna i mniej niebezpieczna, że nie ma na swoje usługi Mickiewicza.

Jest więc postęp złego na wszystkich częściach polskiej ziemi, i we wszystkich częściach składowych narodu. Praca odchrześcianienia świata, którą prowadzi się wszędzie, prowadzi się i u nas, i nie bez skutku.

Ale nie bez obrony. Jak w innych katolickich krajach, tak i u nas jest zrozumienie niebezpieczeństwa, i jest działanie przeciwne, jest opór, i silniejszy, liczniejszy, niż był w pierwszej połowie wieku, kiedy hasło do niego dał Mickiewicz, a prowadził go ksiądz Kajsiewicz, z takimi pomocnikami, jak Koźmianowie, Stelcel jenerał Chłapowski, Popiel, Mann, Górski, i inni. Dziś jest nas więcej, a obrona liczniejsza może też być czynniejszą; i jak postęp złego, tak i postęp dobrego jest widoczny i znaczny. Widoczny na-

przód, co najważniejsza, w duchowieństwie nierównie gorliwszem, oświeceńszem, przykładniejszem niż bywało. Widoczny w biskupach, o których godzi się powiedzieć bez ujmy dla ich poprzedników, że nigdy nie było w Polsce tylu razem do szpiku kości przejętych swojem powołaniem i pełniących je z zapałem równym roztropności i zabiegliwości. Świeccy idą w drugim szeregu, bardziej zwartym, bardziej świadomym swego obowiązku, niż kiedykolwiek. Podniosła się znajomość Kościoła, wierność, zrozumienie, przekonanie, a wskutku tego gorliwość i czynność. Niema tego działania złego, burzącego wiarę i Kościół, naprzeciw którego nie byłoby odpowiedniego działania katolickiego. Stowarzyszenia socyalistyczne lub inne robią swoje, ale robią swoje także stowarzyszenia katolickie. Wydają się dzienniki i książki, które mają lud odwodzić od wiary i odrywać od Kościoła; wydają się drugie, które go mają w wierze i o Kościele oświecać, do nich przywiązywać, utwierdzać. Jest niszczenie wiary i pobożności wśród warstw oświeconych: ale w nich także jest uderzający przyrost prawdziwie i czynnie wiernych. Jest niszczenie katolickich uczuć i wierzeń w młodzieży, ale jest i ich budowanie, i bardzo skuteczne, budujące stałością przekonań i odwagą. Naprzeciw filozofii, przeczącej duszę i odpowiedzialność człowieka, przeczącej stworzenie świata przez Boga, stoi dzielniejsza, naukowo głębsza i umiejętniejsza filozofia katolicka. To bez

zarozumiałości przyznać sobie możemy, że jesteśmy czynniejsi, silniejsi w religijnych przekonaniach, odważniejsi w ich wyznawaniu i obronie. Jednym z dowodów tego postępu są te Stowarzyszenia Maryańskie, które święcą obchód dzisiejszy. Pod opieką Niepokalanej Bogarodzicy łączą się w prośbie o utrzymanie, krzewienie, szerzenie Jej czci, przez Jej przyczynę katolickiego ducha, wiary, zabezpieczenia przyszłości narodu. Któż może wiedzieć, czy już nie uprosiły tej pomocy i opieki, czy ich prośby i ich starania nie przyczyniły się do tego wzrostu sił katolickich, który jest? Że jest, to dowodzi choćby sam ten nasz obchód na cześć Najświętszej Panny. I dobrze, że on się tu odbywa w tem mieście. To dla niego miejsce najlepsze, wybrane. Nigdzie, nawet nie w Warszawie, ale tu powinien się złożyć ten hołd Matce Najświętszej, tu we Lwowie, gdzie król składał na jej ołtarzu koronę, a u jej stóp swoje śluby. Dobrze, że ten sam jej obraz przeszedł dziś po ulicach tego miasta, że nim dane było błogosławieństwo na cztery strony polskiej ziemi. A my zrozumieliśmy wszyscy, że tu ten hołd miał się oddać; zeszliśmy się ze wszystkich stron, żeby go oddać, żeby uczestniczyć w tym obchodzie, który potężnym chórem woła do Matki Bożej: „Witaj święta i poczęta niepokalanie“, a do nas słowami starej pieśni, pamiętającej szwedzkie i kozackie najazdy: „Lachu oddaj się Maryi w obronę“.

Oddaj się w obronę, bo potrzebuje jej bardzo twój czas i twój naród. Świat się przetwarza w coś nowego, innego, a jakie to będzie? Wiara i nadzieja mówią, że będzie lepsze, ale rozwaga i rzeczywistość mówią, że wszelkie złe wytęża się połączonemi siłami na to, by z tej przemiany świat wyszedł gorszym, żeby sobie starł znamię chrztu na czole, wyparł się swego Stworzyciela i Odkupiciela myślą, słowem i uczynkiem.

Zwycięstwo ostateczne musi być przy Bogu, przy Jego Kościele, przy prawdzie; ale częściowe i chwilowe nasze przegrane, a tryumfy nieprzyjaciela są możliwe, bo walka zacięta, jego siły wielkie, a jego przebiegłość (nie mądrość, tylko przebiegłość) większa od naszej. Te zaś częściowe i chwilowe zwycięstwa złego, to zguba milionów dusz naprzód, a potem zdziczenie ludzkiego rodu i zagłada cywilizacyi w rozpasaniu żądz i rozkiełznaniu wszystkich nienawiści. Tę walkę toczymy, musimy toczyć pospołu z innymi; oby nie gorzej, nie mniej odważnie, nie ospalej od innych. A ani jej wygrać, ani w niej wytrzymać nie możemy bez pomocy. I tu staje pośredniczka, orędowniczka, pocieszycielka, do której zwraca się świat katolicki w swoim frasunku i uciśnieniu. Ona zbiera prośby i łzy ziemi i zanosi je do nieba; ona z nieba spuszcza obfitość łask tem większą, im większa potrzeba, im większe niebezpieczeństwo. To jest stosunek czci Najświętszej Panny do naszego dzisiejszego czasu. Groźny czas, ciężarny jakąś przyszłością nieznaną. Wszystko trze-

szczy w swoich spojeniach, wszystko się chwieje w swoich podstawach. Nawet te wielkie mocarstwa, które urągały światu, ufne w swoją niezwyciężoność, nawet te niepewne swego zwycięstwa, a pewne tylko swego głębokiego zepsucia. Co to jest? Czy to może już istotnie „rozgrzmiał się sąd w niebie ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami?“ Czy to może początek kary na wszystkie niegodziwości ludzi, Instytucyj, Praw, Państw?

Ale jeżeli to początek, to jakiż będzie koniec? Czy to będzie tylko kara, czy odrodzenie? Czy „z myśli Bożej rozwinie się świat nowy, lub też, czy tylko nowe zbrodnie przyjdą karać stare, a same nic nie utworzą, nic nie zbudują?“. To jest samo jądro kwestyi, sama sfinksowa zagadka tego chaosu, w którym żyjemy. Na jej rozwiązanie dobre pracować powinniśmy, przyczynić się do niego możemy wszyscy, jeżeli będziemy dobrego strzedz i bronić w sobie i około siebie, każdy w zakresie swojej możności. Ale nie zdołamy o własnej mocy, bez pomocy. „Bóg bez nas samych nie może nas zbawić“ — bez naszej woli zbawienia i służenia zbawieniu: ale tak samo my nie możemy nic zbawić, nic poprawić bez Boga. A do Jego pomocy, do Jego zmiłowania, droga przez orędownictwo Jego Matki.

Ludzie niewierzący urągają często tej naszej wierze; mówią: na cóż się wam przydała? Patrzcie jak Bóg, jeżeli Bóg jest, szczęści narodom protestanckim albo schizmatyckim, a was im na łup oddaje. „I gdzież ten ojciec, i gdzież ten Bóg?“

A ta Matka Boska, pod której obronę uciekacie się z ufnością, jakże was ona wspomaga i ratuje?

Prawda! powodzenie nieprawości może, a prawie musi odbierać, jeżeli nie wiarę, to przynajmniej odwagę. Ale czekajmy. Chrześcijaństwo przez trzysta lat prześladowane przez wszechmocny Rzym, mogło także wątpić: a on mógł pytać: „Gdzież ten ojciec i Bóg?“ Ale chrześcijaństwo wierzyło, czekało, i doczekało się zwycięstwa, doczekało się kary na wszechmocny pogański Rzym. A co do Matki Najświętszej i Jej pomocy, to co my wiemy, jak Ona nas ratuje, wiele złego odwróciła, do wiela dobrego pomogła? a moglibyśmy też pytać sami siebie, jak na tę pomoc, na tę opiekę zasługujemy. Ratowała nas Ona i wyratowała, kiedyśmy o to prosili. Ale po ratunku, czyśmy się wywdzięczyli jak należało? Częstochowa, Chocim, Wiedeń, podniosły w nas i wdzięczność i ufność ku Pocieszycielce strapionych, Wspomożycielce wiernych. Tyle jest śladów tych uczuć, że cała Polska zda się zgodnie w ucisku skarżyć się, że „nieprzyjaciel na to się usadził, by sługi twoje z ojczyzny wygładził“, woła: „Pośpiesz się Panno ze swoją obroną“, a potem cała dziękuje fundacyami kościołów, bractwami, modlitwami, i tą koroną, którą król złożył u stóp Opiekunki i Orędowniczki. Pamięć została, wdzięczność została, ufność została, i szczęście jeszcze, że one zostały: ale skutku nie wydały. Brzmiały w pieśniach i pacierzach, nie przesiąkły do gruntu serc, do woli, do życia.

Nazwaliśmy, i nazywamy Matkę Najświętszą Królową korony Polskiej, ale słuchać tej Królowej nie lubiliśmy: a Ona zapewne (jak Batory) nie lubi być malowaną królową, i w późniejszych gorszych uciskach nie broniła już tej swojej korony tak, jak w Częstochowie. Konfederat śpiewał: „ja mam Panią, imię Jej Marya", i z Jej Imieniem padał, ale nie zwyciężał.

Szczęście zawsze, że ta cześć i ufność przetrwała smutne czasy najgorszego zepsucia, może ona niewidomie strzegła nas od zupełnego: a w tym skończonym wieku wielkich nieszczęść, wielkich zasług, wielkich poświęceń, ale i wielkich błędów niestety, ona rośnie, wzmaga się: obyśmy umieli i chcieli zrobić ją skuteczniejszą, jak nasi ojcowie „po szwedzkim zaborze": bo większe nasze niebezpieczeństwo jak ich, i większa potrzeba obrony.

Pomiędzy naszemi polskiemi oznakami czci Najświętszej Panny, był pomysł jeden, który nie stał się czynem, ale był piękny. Król Władysław IV chciał ustanowić order Niepokalanego poczęcia. Milo jest myśleć, że u nas, u naszego króla, zrodził się ten zamiar hołdu dla Niepokalanego Poczęcia właśnie. Nasza źle zrozumiana równość, źle zrozumiana demokracya (szlachecka wówczas) udaremniła zamiar, nie dopuściła wykonania. Historycy mówią, że w zamiarze była nie sama tylko intencya pobożna, ale i myśl polityczna. Order miał łączyć i skupiać najlepszych ludzi ówczesnej Polski, stworzyć z nich zastęp,

wał obronny przeciw temu rozkładowi, który niebawem się objawił, a doprowadził do rozbioru. Kawalerowie Niepokalanego Poczęcia mieli być niepokalanymi w swoim duchu publicznym; nie dopuszczać zrywania sejmów, nie łapać starostw, i nie grabić skarbu, nie uciskać poddanych, króla nie podejrzywać i nie wexować. Czybyśmy nie mogli tej myśli wznowić, wskrzesić i na bardzo małą skalę przecież urzeczywistnić? Orderów nie rozdajemy, ani nie stanowimy. Ale ten zastęp czcicieli Bogarodzicy, czy nie mógłby stać się hufcem, szańcem, obozem, niepokalania polskiej duszy i czci? Żadnej skazy, żadnej zmazy, ani na sumieniu, ani na honorze, ani w miłości rodziny, ani w miłości ojczyzny, ani w sprawach pieniężnych, ani w sprawach politycznych: To nie jest rzecz i sprawa ani politycznych opinij, ani wykształcenia, ani wychowania i stanu, ani większego, czy mniejszego dostatku: to jest rzecz i sprawa wspólna, sprawa sumienia i honoru, tak samo ważna, tak samo dostępna bogatym czy ubogim, uczonym czy prostaczkom; wszyscy możemy dla niej i nad nią pracować, wszyscy w niej się łączyć, w tem przekonaniu słusznem, że ratujemy duszę, zdrowie i przyszłość narodu. W tem przekonaniu możemy i powinniśmy wszyscy wzywać „Uzdrowienia chorych,“ bośmy chorzy; „Ucieczki grzesznych,“ bośmy grzeszni; „Pocieszycielki strapionych“, bośmy nieszczęśliwi bardzo; „Wspomożycielki wiernych“, bo więcej czy mniej wierni, potrzebujemy wspomożenia. Taki zastęp, strzegący siebie i swoich od

złego, patrzący na swoje widnokręgi i w nich w miarę sił służący dobremu, gdyby był, gdyby się szerzył, mógłby stać się gwardyą w służbie i w obronie i wiary, i obyczaju domowego jak publicznego, i ojczyzny. Z tym zamiarem, z tem postanowieniem, pod tem hasłem: „Lachu oddaj się Maryi w obronę". Wtedy będziemy mogli śmiało wołać do Niej: „*Monstra te esse Matrem* wołać na cały głos: „Polska korona srodze uciśniona — Niechaj nie będzie przez Cię opuszczona" — i wtedy, kiedyś, może usłyszymy odpowiedź, może „nas dojdzie szczęśliwa nowina: Macie już łaskę u mojego Syna"...